

Wojciech Stanisławski: Niewiadomski, bête noire

Zbrodnia Niewiadomskiego bywa wykorzystywana do polaryzacji dzisiejszego pola sporów politycznych i przypisania wszystkim orientacjom sceptycznym wobec narracji entuzjastyczno-liberalnej sympatii dla czynu Niewiadomskiego, bądź wręcz uznania tych orientacji za bezpośrednich jego następców ideowych – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „1922. Oblicze polskiej stásis?”.

Z reguły unikam oświadczeń odautorskich – z niechęci do deklaratywności i wspinania się na maszty przeznaczone dla sztandarów, nie dla autorów, z nadziei, że moje teksty i wybory są w stanie, do pewnego przynajmniej stopnia, powiedzieć coś o wybieranych przeze mnie wartościach, przede wszystkim może z zaufania do swoich czytelników. Kwestia, w której się wypowiadam, jest jednak tak bolesna, do dziś posiada taki potencjał polityczny i emocjonalny, że zanim postawię ryzykowną, zapowiedzianą w tytule tezę, muszę skreślić kilkudzaniowy disclaimer. Choćby po to, by nie ułatwiać zadania licznym krytykom „Teologii Politycznej”.

Oto zatem krótka, oczywista deklaracja: dokonane przez Eligiusza Niewiadomskiego morderstwo na pierwszym prezydencie odrodzonej Rzeczypospolitej Gabrielu Narutowiczu napełnia mnie odrazą. Nie znajduję dlań ani nie próbuję szukać żadnych okoliczności

usprawiedliwiających (mogę co najwyżej przyznać Niewiadomskiemu, że nie starał się umknąć od odpowiedzialności; ale to naprawdę stosunkowo niewielka zasługa). Dostrzegam też, że zbrodnia ta nie była (a przynajmniej: nie tylko) następstwem prywatnej aberracji historyka sztuki, lecz wynikała z konglomeratu uprzedzeń, lęków i obsesji, podzielanych przez istotną część „obozu narodowego”. Może tyle?

Nie, coś jeszcze trzeba dodać: oczywiście, trudno usprawiedliwiać morderstwa polityczne (choć, przynajmy, rozpiętość ocen bywa tu większa niż w przypadku wszelkich innych zabójstw: sztyletnicy z roku 1863, towarzysze z Organizacji Bojowej PPS są postrzegani jako bohaterowie walki o niepodległość), ale czyn Niewiadomskiego jest czymś szczególnym. Zamordował on nie tylko „oponenta politycznego”, lecz osobę wybraną przez przedstawicieli całego społeczeństwa, głowę państwa, w dodatku (mnożąc delikty) – pierwszą głowę państwa, które odzyskało niepodległość. Ciężar symboliczny tego morderstwa był straszliwy.

Napisawszy to, zaryzykuję wreszcie tezę sporną i nieprzyjemną. Nawet dwie.

Zbrodnia Niewiadomskiego bywa w moim przekonaniu wykorzystywana do dyskredytowania całego „obozu narodowego” – bez względu na jego wewnętrzne podziały generacyjne i ideowe, bez uwzględnienia dokonań i przewin innych formacji okresu Dwudziestolecia, bez wreszcie umiejscowienia zabójstwa prezydenta RP na tle kultury politycznej przełomu XIX i XX wieku.

Co gorsza (bo mamy w tym przypadku z praktyką jeszcze bardziej instrumentalizującą tkankę historii), bywa ona wykorzystywana do polaryzacji dzisiejszego pola sporów politycznych i przypisania wszystkim orientacjom sceptycznym wobec narracji entuzjastyczno-liberalnej sympatii dla czynu Niewiadomskiego, bądź wręcz uznania tych orientacji za bezpośrednich jego następców ideowych.

Pierwsza praktyka ma swój początek we wstrząsie, jakim był grudniowy zamach – i o tyle jest usprawiedliwiona. Jak zwykle w przypadku zbrodni dokonanej z pobudek politycznych, nawet historykom, ba, nawet bezpośrednim świadkom trudno jest ocenić, na ile skrucha i ubolewanie przeciwników politycznych ofiary bywa jedynie trybutem na rzecz dobrych obyczajów. Równie trudno ocenić, na ile żal, oburzenie i zgroza jej przyjaciół i sympatyków politycznych dyktowane są jedynie „odruchami serca”, a na ile są wynikiem (czasem podświadomej) kalkulacji, przekonania, że zbrodnia ta może zostać wykorzystana do zdyskredytowania wizerunku całej formacji. Oczywiście, zmienia się to w funkcji czasu: w pierwszych godzinach i dniach po zamachu zarówno żal, jak i skrucha są często szczerze, w kolejne rocznice coraz bardziej stają się elementem przyjętych ról politycznych. Zbyt wiele mamy, również w dzisiejszych czasach, przypadków instrumentalizacji żałoby, ubolewania, a czasem i demonstracyjnego despektu dla ofiar, bym musiał ten wątek rozwijać.

Napisawszy to, warto jednak bodaj wspomnieć o kulturze przemocy zbiorowej i indywidualnej końca XIX i pierwszej połowy XX wieku – po to, by uświadomić sobie, że zamach Niewiadomskiego, jedyny w swoim rodzaju i budzący zgrozę w Rzeczypospolitej, wpisywał się w ciąg dokonań terrorystów i anarchistów, podnoszących rękę na

prezydentów, królów i cesarzowe na skalę wcześniej niespotykaną. Więcej: nierównie lepiej wpisywał się w falę przemocy „ludowej”, spontanicznej lub zorganizowanej, zalewającej Europę od czasu Wielkiej Wojny.

*Szafarzy przemocy było wielu
– Niewiadomski został jednak
uznany za jej symbolicznego
sprawcę, za tego, który
otworzył puszkę Pandory,
źródło wszelkich nieszczęść i
swarów II RP, za „zabójcę
demokracji”*

I nie myślę tu tylko o rewolucji bolszewickiej (i działaniach jej oponentów), o faszystach włoskich i ich „klonach” we wszystkich bodaj krajach Europy, z Niemcami na czele. Również partie i nurty formalnie

deklarujące się jako demokratyczne tworzyły swoje „straże” (bardziej eleganckie określenie dla bojówek) i nie stroniły od konfrontacji ulicznych lub bójek w parlamentach. Kaletnicy robili fortuny na koalicijkach, inne niż dziś były przepisy regulujące posiadanie i użycie broni krótkiej, kultura pojedynków, choć już zmierzchała, miała się jeszcze całkiem dobrze. Wszystko to sprzyjało „upowszechnieniu przemocy w relacjach politycznych” – choć, jak napisał kiedyś bardzo trafnie Piotr Skwieciński, większa intensywność przemocy fizycznej, nieporównanie większa liczba „incydentów przemocowych” w II RP niż w III RP niekoniecznie szła w parze z większym natężeniem pogardy w relacjach skłóconych ugrupowań politycznych. Przeciwnika można było nienawidzić – lecz zarazem się go szanowało. Oczywiście, można to uznać za „wybór między dżumą a cholera” – ale można też widzieć w tym wybór między pewnymi (anty)wartościami politycznymi – wybór,

który bywa jedną z cech realnej polityki. I nie jestem pewien, czy w praktyce politycznej pogarda, świadczona sobie dziś przez twittujących polityków, jest o tyle lepsza od nienawiści.

Mniejsza zresztą o indywidualne emocje: Dwudziestolecie, również w Polsce, naznaczone jest przemocą zorganizowaną. Ani mi w głowie układać w tym miejscu pasjansa z „czarnych kart II RP”. Nie sposób jednak nie dostrzec, że pod względem ilości ofiar i przelanej „krwi bratniej” przejęcie władzy przez Józefa Piłsudskiego w maju 1926 jest bezkonkurencyjne. Otwiera ono jednak jedynie ciąg zbiorowych aktów przemocy, w którym mieszczą się i strzały oddawane do robotników, i pacyfikacje strajków chłopskich, i wydarzenia w Przytyku, i starcia bojówek studenckich w Wilnie, Poznaniu czy w Warszawie. Szafarzy przemocy było wielu – Niewiadomski został jednak uznany za jej symbolicznego sprawcę, za tego, który otworzył puszkę Pandory, źródło wszelkich nieszczęść i swarów II RP, za „zabójcę demokracji”. I to mimo, że funkcjonowała ona formalnie, na poziomie mechanizmów przekazywania władzy, przez kolejne 4 lata, jej ograniczenie w praktyce sejmowej i rządowej spowodowali zaś dopiero oponenti obozu narodowego (znów: nie podważam wszystkich ich racji. Przypominam jednak fakty).

Znacznie jednak gorszym nadużyciem intelektualnym jest osadzenie Niewiadomskiego na osi sporów najzupełniej współcześnie dzielących Rzeczpospolitą. Jest ich, jak wiadomo, wiele – od całościowej oceny rządów większości parlamentarnej i prezydenta, przez stosunek do proponowanych przez nie zmian, reform i ustaw, po spór o koncepcję i zakres suwerenności, o rodzaj osadzenia RP w strukturach Unii Europejskiej i ocenę unijnego zaangażowania w polskie kwestie polityczne, o rolę unijnego „judykariatu” jako „czwartej władzy”. Próbę

takiego osadzenia, „sklejenia” niejako lat 1922-1939 i współczesnych tak, by jak najbardziej je do siebie upodobnić, przynosi następujący akapit:

„Zabójstwo pierwszego Prezydenta RP okazało się fundamentalną cezurą Polski XX wieku, **a ma też ponure współczesne kontynuacje. „Prawdziwi Polacy” nie tworzą prawdziwej Rzeczypospolitej, lecz kraj ksenofobiczny, zacofany, leczący kompleksy „mocarstwowymi” deklamacjami** [podkr. moje, WS]. Światli patrioci ostrzegali: po 1918 roku **państwo ma szansę jedynie w demokratycznej federacji europejskiej** [podkr. moje, WS] – osamotnione, wobec narastających z czasem monstrów totalitarnych, będzie skazane na klęskę. **Trzeba było budować front międzynarodowy, zabrakło jednak demokratycznego rozsądku** [podkr. moje, WS] – i tak do września 1939”.

Ten cocktail dwóch epok sporządzony jest z wyczuciem, lecz przejrzyście. *Praesens historicum* w drugim zdaniu wskazuje, że „Prawdziwi Polacy” – ksenofobi i mocarstwowcy – nie byli przywarą jedynie II RP, lecz ciężą i Trzeciej. Wizja „demokratycznej federacji europejskiej”, z której Polska bywa przez „mocarstwowców” wyłuskiwana – zbyt dobrze, do znudzenia wręcz, znana jest ze współczesnych publikacji, by można było mieć wątpliwości, czego dotyczy.

Dyskusyjna, jeśli chodzi o to, na ile wiernie ukazuje ona współczesne relacje w Europie i w UE, jest ona jednak bezzasadna, gdy mowa o Dwudziestoleciu. Jaka „federacja europejska” w tym czasie? Ani Mała Ententa, ani inne czasowe i długoterminowe sojusze, budowane przez

*Nadużyciem intelektualnym
jest osadzenie
Niewiadomskiego na osi
sporów najzupełniej
współcześnie dzielących
Rzeczpospolitą*

III RP, nie zasługują
na to miano. Ton
przestrogi i świętej
zgrozy, jakim
pobrzmiwa ten
akapit, nijak się ma
do realiów II RP –
ani, w moim
przekonaniu,
Trzeciej RP. Pozwala

jednak na umocnienie osi polaryzacyjnej: świątli patrioci, zwolennicy
demokratycznego rozsądku – contra „Polacy-katolicy”, „Prawdziwi
Polacy”, kseonofobiczni mocarstwowcy. Niewiadomszczycy.

Jest mi naprawdę ogromnie przykro, że oś taka zasugerowana została
we wstępie do najnowszej książki (antologii) „Karty” – środowiska,
które jak mało które w III RP potrafi dystansować się od bieżących
sporów, zabiegać o wspólne dobro, stawać ponad podziałami. Pokazuje
to tylko, jak ogromnie rozkołysane są emocje. Obyśmy potrafili nad
nimi panować – bodaj w 2022 roku, skoro nie udało się to w 1922 roku.

„Zabójstwo Narutowicza. Kres demokracji w II RP”, red. prowadzący
Adam Safaryjski, wstęp Zbigniew Gluza, Ośrodek Karta, 2022

Wojciech Stanisławski

Foto: Domena publiczna